Wojciech Kaliszewski: Wspólny splot

Jak wiele trzeba było trudu, słów i czynów, aby w chwili, której carskie imperium rozsypywało się bezpowrotnie, obudzić pamięć o samodzielności i odpowiedzialność w tych, którzy od wieków zamieszkiwali ziemię nad Berezyną. O tym jest przecież wielka, piękna i dramatyczna opowieść Floriana Czarnyszewicza. O tym są jego „Nadberezyńcy". Ale to nie tylko złożona epicka konstrukcja, rozległa i poruszająca opowieść wypełniona zdarzeniami, ludźmi i językiem – to przede wszystkim wielka synteza losów ludzi, którzy na tamtych ziemiach – jak strumienie – odnajdują ostatecznie swoje dawne, zasypane przez czas drogi i łożyska – pisze Wojciech Kaliszewski w „Teologii Politycznej Co Tydzień": „Białoruś: czyli o poszukiwaniu nowego ładu".

Pamięć o ludziach, miejscach i zdarzeniach jest przede wszystkim pamięcią słów opisujących, odsłaniających obraz świata dawnego, innego, odległego. Szczególną rolę w tym wyjątkowym „przemawianiu" odgrywa literatura. Ze wszystkich sztuk ona bowiem najpełniej i najszerzej obejmuje horyzont świata minionego, pilnując jego granic i źródeł. Opisy miejsc dawnych – nawet te najdłuższe i przypominające nudne, statyczne katalogi – mają w sobie zawsze coś z narracji poruszającej i przenoszącej czytelnika do świata zdarzeń przeszłych, uruchamiają w nim wewnętrzne przemiany, zachęcają do słuchania i działania w imię przyszłości. Opisy są częścią naszego wewnętrznego i duchowego dziedzictwa. Coś z tego, co przeczytaliśmy, zostaje w naszej wyobraźni na zawsze, coś sobie z tego – jak pisał kiedyś Józef Wittlin – „przywłaszczamy". Z opisów i obrazów słownych rodzi się niepowtarzalna i jedyna w swoim rodzaju wspólnota przeżyć, emocji i uczuć. Ta konstrukcja jest tak znacząca i trwała, że nawet późniejsza konfrontacja ze stanem faktycznym owych opisanych miejsc, nie potrafi zmienić i zburzyć tego – mitologicznego – obrazu. Napięcie między rzeczywistością a wyobraźnią zanurzoną w języku zdaje się trwać poza czasem, dotyka wieczności. Po prostu jest.

Czy jednak takie podejście do słów, do literackich obrazów i przekazów nie jest czymś zwodniczym? Czy nie poddajemy się w ten sposób złudnym marzeniom i nie uciekamy w stronę utopii? Wątpliwości powinien rozwiewać nawyk krytycznego myślenia, chroniący nas przed pułapką iluzji. Potrzebna jest więc miara, pozwalająca w tym, co realne, odkrywać to, co niezwykłe i zarazem dostrzegać w cudowności kształty prawdziwe. Stanisław Vincenz zanotował kiedyś, że „Narody nie muszą mieć i nie mają granic twardych. Wchodzą jedne w drugie, przesiąkają, przechodzą stopniowo jedne w drugie". To prawda. Vincenz – pisząc te słowa – miał na myśli Polaków żyjących na rumuńskiej Bukowinie. Ale jakże to „przesiąkanie" pasuje do innych horyzontów i przestrzeni, wspólnych choćby dla Polaków, Białorusinów i Litwinów żyjących nad Niemnem, Wilią czy Berezyną. Wyraźnie zapisała się ta trójdrożna jedność w Mickiewiczowskich apostroficznych wersach z *Pana Tadeusza*:

> Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy
> I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy
> Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem!

Nie tylko wielowizerunkowy obraz Matki Bożej składa się na jedno – tak samo ważne i przemawiające – Jej ikoniczne przedstawienie. Słychać w tym fragmencie przecież jakby trzy różne wołania, trzy dykcje mimo odrębności językowych zharmonizowane w jeden głos. Głos jest wspólny. Na tym – między innymi – polega wspomniane „przesiąknie" się narodów, kultur, języków i myśli. I w obszarze owego „przesiąkania" odnajdują się tożsamości, które nie muszą między sobą rywalizować, ale mogą się dopełniać, przenikać i rozwijać.

Zwornikiem Mickiewiczowskiego przedstawienia jest „wierny lud", czyli zbiorowość otwarta na to, co przekracza ziemski horyzont, ale z tym horyzontem trwale przecież związana. Wiara miała wielką moc. Jako swoista forma miłości łączyła w sposób jednoznaczny, pozwalała rozpoznać jedność w świecie różnorodnych kultur. Była fundamentem i progiem współistnienia. „Książki – i znowu sięgam do Vincenza – doprowadzają nas do progu. Potem nauczymy się liter i zaczniemy je składać. Więcej jeszcze niż książki, pismo światowe, ma nam przypomnieć wiedzę naszej duszy". To echo *Boskiej Komedii* Dantego:

> *Jakże to „przesiąkanie” pasuje do innych horyzontów i przestrzeni, wspólnych choćby dla Polaków, Białorusinów i Litwinów żyjących nad Niemnem, Wilią czy Berezyną*

W jej łonie widzę
wszystkich bytów
przędzę:
Kochanie wiąże
jednolitym splotem
To, co oddzielnie stoi
w świata księdze.

Takim „splotem” była niegdyś Pierwsza Rzeczpospolita, było nią Wielkie Księstwo Litewskie i takim „splotem” pozostał obraz utraconej w wyniku politycznego dramatu przestrzeni. Jej wagę i piękno doceniał przede wszystkim ten – jak pisał Mickiewicz – „Kto cię stracił”. To zdanie niesie jedną z najważniejszych miar piękna i etyki w polskiej literaturze. Ale jest także głębokim napomnieniem. Bo „utrata” to z kolei próg zatarcia tożsamości i początek drogi samotnej, często błędnej, prowadzącej od centrum ku brzegom nieznanym, ciemnym i obcym. Ten, kto tę wielkość straty naprawdę zrozumiał, starał się ją odrobić, przywołując z pamięci najdrobniejsze nawet szczegóły „dawnych dziejów”. Ten pisał „świata księgę”, znowu wszystko „jednolitym splotem” wiążąc.

Ruiny zamku w Nowogródku, na które młody Mickiewicz spoglądał i które dobrze znał, pamiętały i wciąż jeszcze pamiętają odległe wydarzenia z dziejów Wielkiego Księstwa Litewskiego. To tam w 1253 roku Mendog koronował się na króla Litwy i tam został ochrzczony. Dzisiaj Nowogródek leży w granicach Białorusi. Ale jeśli odsłonić przeszłość to ukaże nam się obraz świata o zupełnie innych „splotach”. Język białoruski (jego stara, historyczna wersja), zanim stał się językiem peryferii, zaścianków i folwarków, był aż po koniec wieku XVII językiem urzędowym w Wielkim Księstwie. Spisano nim w latach dwudziestych szesnastego stulecia Statuty Litewskie. Służył polityce i długo tworzył „jednolity splot” politycznej rzeczywistości. Potem ów splot rozluźnił się i rozpadł na wiele wątków, język białoruski stał się – jak powiadał Wincenty Dunin-Marcinkiewicz autor polskich i białoruskich utworów – „językiem kmiotków”. Ale to właśnie on, pisarz, uczestnik powstania styczniowego i badacz kultury białoruskiej wspominał: „Żyjąc wśród

ludu mówiącego białoruskim narzeczem […] postanowiłem dla zachęty go do oświaty, w duchu jego zwyczajów, podań i zdolności umysłowych, pisać we własnym jego narzeczu”.

Nie on jeden przecież podjął się wówczas tego zadania. Znaczącą rolę w procesie zacieśniania „splotu” językowego odegrał wcześniej Jan Czeczot. Ten sam, który uczył się razem z Adamem Mickiewiczem w szkole w Nowogródku, a potem wraz z nim studiował na wileńskim uniwersytecie, filomata, carski więzień i zesłaniec. Czeczot i Mickiewicz przyjaźnili się od wczesnej młodości. Była to więź wyjątkowa. Ich wyobraźnia żywiła się tymi samymi pejzażami, brzmieniem tej samej mowy, znali w dzieciństwie tych samych ludzi, chodzili tymi samymi ulicami. W dużej mierze właśnie Czeczotowi zawdzięczał Mickiewicz to, że nie zapomniał o „wiernym ludzie” i rdzeń „języka kmiotków” nie został w jego twórczości złamany, ale wtopił się w nią jako jedno z głównych źródeł opisu rzeczy i ludzi.

> *Takim „splotem” była niegdyś Pierwsza Rzeczpospolita, było nią Wielkie Księstwo Litewskie i takim „splotem” pozostał obraz utraconej w wyniku politycznego dramatu przestrzeni*

Jan Czeczot do śmierci – zmarł w 1847 roku – żył w świecie granicznym. Pisał po polsku i po białorusku. Łączył w sobie, w swojej wyobraźni i doświadczeniu świat, który się nieustannie stawał, zmieniał, otwierał i powstawał przez wspomniane „przeciekanie”. Obraz takiego świata Czeczot pielęgnował i nadawał mu wymiar znaczący, był nie tylko jego świadkiem, ale również strażnikiem. Mickiewicz – powtórzmy – jako poeta sięgający do wątków białoruskiej kultury ludowej, wiele zawdzięczał właśnie Czeczotowi, studentowi skromnemu i pozostającemu w cieniu innych filomatów. To on podtrzymywał w autorze *Ballad i romansów* zainteresowania białoruską przeszłością, jej tajemnicami i mitologicznymi przedstawieniami. On był w tych kwestiach przewodnikiem i mentorem Mickiewicza. I to on jest autorem napisanego po białorusku wiersza, witającego przyjazd Mickiewicza w 1819 roku, zaczynający się od słów „Jedzie nasz mileńki Adam!”

Jan Czeczot nie był wybitnym poetą. Nie pozostawił po sobie wierszy wielkich i porywających, ale cechowała go głęboka wrażliwość i – co dla człowieka piszącego jest ważne – miał znakomity słuch językowo-poetycki. Czuł tę mowę, rozumiał „język kmiotków” nie tylko semantycznie, ale rozumiał to, co ukryte jest w głębi każdego języka: rozpoznawał i dostrzegał prawdziwy związek mowy z rzeczywistością. Wiedział, że kiedy mowa zanika – zanika nie tylko konkretny tryb porozumiewania się, ale i ludzie, którzy się nim posługiwali. Dusza języka białoruskiego była już wtedy, w XIX wieku poważnie zagrożona. Pomijany, spychany na margines i zatapiany w morzu mowy wielkoruskiej język białoruski kurczył się i tracił moc, pozostając ledwie cząstką kultury wiejskiej, ludowej i niskiej.

Czeczot, prowadzony niewątpliwie romantyczną ciekawością i współczuciem dla tego, co słabe, gnębione i odrzucone, ale także osobistą potrzebą ratowania kultury białoruskiej pisał:

O ty, ziemio nieszczęśliwa!
Gdzież teraz twoi obrońce?
Kiedyż twoja żyzna niwa
Swobody obaczy słońce?

Wróg się twymi pasie dary,
Co je wydrze po niewoli,
I tymi nie syt ofiary,
Urąga się naszej doli.

Prosty, patetyczny, pełen napięcia i wykrzyknikowych fraz wiersz nosi tytuł *O Ty! Ziemio nieszczęśliwa!* Ale nie tyle patos, obecny w apostrofach, ile prawdziwie liryczne przybliżenie odwiecznych wartości białoruskich okolic, stanowi o doniosłości tego wołania. To jakby list poetycki adresowany do ziemi, czyli do ludu. Oto – powiada Czeczot – ziemia, która czeka na wsparcie, czeka na tych, którzy ją docenią, odkryją jej godność i nie pozwolą zginąć. Upomnieli się o jej godność kilka dekad później styczniowi powstańcy.

Konstanty Kalinowski, bohater powstania, komisarz Rządu Narodowego na Litwę i Białoruś, stracony przez Moskali na Placu Łukiskim w Wilnie i pochowany w bezimiennej mogile na stokach wileńskiej Góry Zamkowej – ten sam, którego szczątki pochowano wraz z innymi straconymi w uroczystym pogrzebie na wileńskiej Rossie dopiero w 2019 roku – mocno utożsamiał się z mieszkańcami Rusi Białej:

> Bywaj więc mi zdrowy, chłopski mój narodzie,
> Zaznaj kiedyś szczęścia, zacznij żyć w swobodzie
> I czasami wspomnij też Jaśkę swojego,
> Co zginął za prawdę, dla dobra wspólnego.
> Kiedy wreszcie słowo w czyny się przemieni,
> Ty stawaj przy prawdzie, ramię przy ramieniu,
> Bowiem tylko z prawdą, w gromadzie i zgodzie
> Dożyjesz starości, wolny mój narodzie!

Ten wiersz, pisany przez Kalinowskiego w więzieniu, na krótko przed śmiercią, wciąż – niestety – nie stracił swojej aktualnej wymowy. Niełatwo stanąć tam i dzisiaj „przy prawdzie, ramię przy ramieniu". Nie było to proste także wcześniej. Jak wiele trzeba było trudu, słów i czynów, aby w chwili, której carskie imperium rozsypywało się bezpowrotnie, obudzić pamięć o samodzielności i odpowiedzialność w tych, którzy od wieków zamieszkiwali ziemię nad Berezyną. O tym jest przecież wielka, piękna i dramatyczna opowieść Floriana Czarnyszewicza. O tym są jego *Nadberezyńcy*. Ale to nie tylko złożona epicka konstrukcja, rozległa i poruszająca opowieść wypełniona zdarzeniami, ludźmi i językiem – to przede wszystkim wielka synteza losów ludzi, którzy na tamtych ziemiach – jak strumienie – odnajdują ostatecznie swoje dawne, zasypane przez czas drogi i łożyska.

Wojciech Kaliszewski